



32. ŁÓPTA - DZIEŃ TRZECI

Recenzje

Teatr Peron 323 " Hikokomori "	str. 1
Teatr Peron 323 " List "	str. 3
Teatr Etna " Na początku zawsze jest chaos "	str. 4
Teatr YETA " Epitimia "	str. 5
Teatr Blejkatt " Przebudzenie "	str. 6
Teatr OK.LASKI " Poświęta "	str. 7
 POZA KONKURSEM:	
Teatr Pod Lupą " Febe wróc "	str. 8

(W) CO JEST GRANE?

Dobrze kiedy Teatr poza dostarczeniem rozrywki, jest pożywką dla intelektu czy wrażliwości. Dobrze kiedy porusza trudne kwestie. Kiedy zadaje pytania, kiedy zwraca uwagę na to, na co uwagę zwracać się powinno. Dobrze kiedy, to co chce powiedzieć, zostaje usłyszane.

Niedobrze kiedy o trudnych sprawach mówi trochę bezmyślnie, albo z nie najlepszym przygotowaniem, bo wtedy odnosi skutek odwrotny do zamierzanego. Temat umiera, nie wzrusza, nie wzbudza żadnych emocji.

Wchodząc do sali 323, zajmując swoje miejsce, na scenie siedział już jeden z aktorów. Spektakl jakby już trwał w tle. A jednak nie. Zza kulis wybiega jedna z aktorek i usadza znajomych na miejscach, wita, przytula, dzwoni gdzieś. Czy na to, nie jest czas po spektaklu? Czy znajomi nie poradziliby sobie sami ze znalezieniem miejsca? A jeśli taki był zamiar, to dlaczego jeden z aktorów już był na miejscu to znaczy na scenie i czekał?

W końcu spektakl się zaczął, ale przez to co zobaczyłam chwilę wcześniej, byłam trochę zniesmaczona. Zwłaszcza, że pojęcie *Hikikomori* jest mi znane, więc zapowiadało, że temat będzie ważny. Kłóciło mi się to z takim lekceważącym podejściem samych aktorów (dokładniej aktorki).

Od pierwszej sceny widać było, że "Nie ma to jak u siebie", grupa Peron 323, świetnie zna swoją salę i bardzo podobało mi się jej wykorzystanie. Impreza tocząca się za ścianą, którą widz podgląda tylko przez uchylone drzwi, dobrze zrealizowana. Mniejsze wrażenie zrobili na mnie aktorzy. Nie dotarł do mnie przekaz emocjonalny, zabrakło intencji (?). Gdy padał śmiech, wydawał on się w nielogicznym miejscu. Gdy padało wzburzenie, nie było one niczym poprzedzone itp. Postacie, w które wcielili się aktorzy były płytko zbudowane, nie wykonywały zadań na scenie innych niż wypowiedzenie kwestii w taki czy inny sposób. Nie był to teatr absurdu, więc raczej oczekuje się logicznych zachowań. A tu brakowało mi tego przemyślenia, procesu rodzenia się myśli i jej ewolucji do czynu.

Pochwalić chcę pomysł, by alienację bohatera - Bartka, pokazać biorąc za narzędzie grę komputerową, w którą to grając, wypowiadał na głos komendy wzięte z prawdziwych gier. Komendy, które jednocześnie odnoszą się do tego, co rozgrywa się na scenie.

Jednak i tu była pewna niespójność. Polecenia były po części prawdziwe, a po części - tak sądzę - wymyślone, co wpływało na jakieś rozbieżności tego pomysłu, burząc wiarygodność, bo taki miks, był dla mnie również nielogiczny. Gra wideo to przemyślany konstrukt, zbudowany wokół narracji spójnej z tematem, typem gry oraz jej mechaniką. A tu przez zmieszanie i tę niekonsekwencję, nie mogłam zawierzyć, że Bartek faktycznie gra.

Reasumując, zabrakło mi profesjonalnego podejścia i zaangażowania w opowiadanie historii. Zabrakło przemyślenia i konsekwencji.

OCENA: 1/5

Pola Lepakhina

Ośmielam się wątpić.

ŁÓPTA jest festiwalem z wieloletnią tradycją. Przez lata zmieniał się, ewoluował. Miał lepsze czasy i gorsze. Jednak pewne rzeczy były stałe i oczywiste. Tak oczywiste, że nawet ich nie ma w regulaminie. Mocą gentelmeńskiej umowy, nie wystawiano tego samego spektaklu dwukrotnie. A przynajmniej nie w części konkursowej. Czy to uczciwe dla pracy innych zespołów? Dodatkowo nie mówimy tutaj o wskrzeszaniu spektaklu po dziesięciu czy dwudziestu latach. Tutaj chodzi o spektakl, który pojawił się na festiwalu w ubiegłym roku.

Owszem, można powiedzieć, że zmieniła się aktorka. Kosmetycznie zmienił się początek, najpewniej w samym spektaklu zaszły jakieś małe zmiany... Ktoś powie: a taką "Piaskownicę" to maglowano przez lata! Tak, ale różne zespoły. Poza tym pozwolę sobie postawić tezę, że scenariusz do "Listu" w zasadzie mógłby zostać zaimprovizowany na scenie.

W nowej edycji "Listu" wytłumaczono dlaczego główna bohaterka płacze. Przegrała wszystko w kasynie. W ubiegłorocznej edycji zabrakło tej bardzo ważnej informacji. Znaczący nie aż tak bardzo ważnej, bo później już się do niej nigdy nie odniesiemy. To tylko taki pomysł, żeby jakoś uargumentować ten płacz i złość. Poza tym utrata wszystkiego w kasynie schodzi na dalszy plan, główna bohaterka zupełnie o tym zapomina, bo otrzymała list. W temacie fabuły odsyłam do ubiegłorocznej edycji Łóptaka, Kamil Bończyk opisał co i jak. Generalnie, to nadal jest płytko. Jeszcze w temacie scenariusza, w tym roku angielsko brzmiące imiona zastąpiono polskimi. To jest zmiana! Zmiana dająca nowe możliwości. Przykładowo: aktorka będąc w roli głównej bohaterki wymieniającej swoich byłych chłopaków, może wymienić imiona swoich kolegów siedzących na widowni. A to już przepis na sukces, bo będzie śmiechu co nie miara. Ja rozumiem puszczanie oczka do publiczności, ale proszę! Zachowajmy w tym chociaż odrobinę celu i subtelności. Miejmy jakąś pokorę, jakiś szacunek do teatru. Chyba, że naprawdę w teatrze chodzi tylko o to, żeby się trochę popisywać na scenie i zebrać owacje na stojąco od kolegów. Ok, monodram ma puentę, ale to jest ta sama co w roku ubiegłym...

Ogólnie można to traktować jako wprawkę warsztatową i świetnie, ale nie monodram grany przez najbliższe piętnaście edycji Łópty. Może gdyby to był zupełnie inny spektakl, cudnie dopieszczony... To i tak nie powinien startować w części konkursowej. Poza konkursem? Oczywiście, że tak, dzielimy się naszą pracą.

Remigiusz Pilarczyk

TEATR ETNA "Na początku zawsze jest chaos"

Mam prośbę do Ośrodka Teatralnego ŁDK. Czy możemy w regulaminie Łópty dopisać, że przegląd się nie odbędzie jeśli nie zostanie do niego zgłoszona co najmniej jedna inscenizacja tekstów Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego? Każdego roku bowiem takie spektakle są najjaśniejszym punktem programu. Są jak wietrzenie sali 323 po dwugodzinny spektakl (oczywiście wpisanym w karcie zgłoszeniowej jako 45 minutowy). Są jak przerwa od pisania recenzji na zabawę i głaskanie Bigli. Przede wszystkim jednak są najlepszą lekcją teatru jaką można zaoferować młodym ludziom. Oto przykład z tego roku.

Teatr Etna. 7 aktorów na scenie... Naprawdę? Powołuję się na kartę zgłoszeniową ale mógłbym przysiąc, że było Was więcej. Powiedzmy że 15 osób na scenie. Ważna adnotacja - scena to sala kolumnowa ŁDK, czyli "zabójca spektakli". Wielu się na nią łąsi, gdyż oferuje największą przestrzeń. Wielu z nią przegrywa, nie radząc sobie z tak dużą studnią. A tu proszę - 7/15 młodzików i sala już nie taka straszna. Cała przestrzeń wypełniona, energia aktorów skupiona i wycelowana prosto w widzów (umiejscowionych przez reżyserkę w centralnej części). Grupa wie co ma robić. Widać że mają to wypracowane, a mimo wszystko nie czuć rutyny. Wszystko jest świeże, energetyczne - jakby grali to po raz pierwszy.

Czasami żałowałem, że nie mam bardziej podzielnej uwagi, gdyż każdy z aktorów tworzył piękną etiudkę teatralną. Gdzie nie spojrzałem działa się coś innego, ale wszystko razem tworzyło całość. Piękna symfonia złożona z wymyślnych instrumentów. Tego typu zespołowość osiąga się tylko przy świetnym liderze.

Po jednej krótkiej rozmowie z Anną Kolanowską sam chętnie zapiszę się do jej zespołu. Dbanie o zespół jako społeczność, a nie kilka gwiazd i pozostałych wypełniaczy to dla mnie najważniejsze zadanie reżysera. Jeśli dołączymy do tego wyobraźnię teatralną, otrzymamy reżysera idealnego. Pani Kolanowska ma wielką wyobraźnię. Każdy element spektaklu funkcjonował na kilku płaszczyznach. Nic nie było po prostu scenografią, po prostu kostiumem, po prostu rekwizytem. Łąka stawiała się suknią, weselne balony strzelbą, arka Noego poczekalnią, matka krową, dziecko małpą etc. Wszystko było przewrotne, dowcipne i magiczne.

Nic dziwnego, że zespół tak dobrze bawił się na scenie a widzowie na publiczności. Magia teatru w najczystszej postaci. Nie potrzebuję niczego więcej.

Proszę, wróćcie za rok.

OCENA: 5/5

Piotr Maszorek

TEATR YETA "Epitimia"

W programach rozdanych przed spektaklem Teatr Yeta napisał "Rosja. Druga połowa XIX wieku. Stan umysłu. Stan serca." Analogiczne zdanie mógłbym napisać o teatrze Adama Wrzesińskiego. Adam wywodzi się z teatru amatorskiego, który odszedł w niepamięć. Był to teatr, który kochał literaturę. Kochał Dostojewskiego, Michałkowa, Witkacego, Schulza. Ten teatr tworzył obrazy sceniczne, które zdawały się pływać w pięknych słowach. Nie łąsił się do widza, nie szukał sensacji ani taniego dramatu. Onirycznie spoglądał w przeszłość i wyciągał z niej idee zapomniane we współczesności. Było to wyjątkowe odbicie literatury na deskach teatru, tęsknota za szlachetnością i pięknem. Był to właśnie stan serca i umysłu tych, którzy go tworzyli. Adam, od narodzin Teatru Yeta, pozostał konsekwentny tej stylistyce. I pomimo tego, że rytm jego spektaklów kłóci się z zabieganą i dynamiczną współczesnością, za każdym razem dają się mu uwieść.

W swojej najnowszej wędrówce zespół Adama wziął na warsztat tekst Michaiła Iwanowicza Fiodorowa. Czwórka bohaterów staje przed możliwością odkupienia swoich grzechów. Zmiany ścieżek, którymi kroczą. Przyglądamy się niedoskonałemu człowiekowi skazanemu na wieczne popełnianie grzechu. Nawet w obliczu obcowania z boskością nie jest w stanie przejrzeć ponad uprzedzenia, strach i nienawiść. Czy jest w tym wszystkim nadzieja i wiara w lepsze jutro? Czy kondycja człowieka z XIX wieku jest tak zgniła jak tego współczesnego? Teatr Yeta wysyła na te pytania jasną odpowiedź, której nie będę tutaj zdradzał.

Te spektakle o których mówiłem we wstępie nie są najłatwiejszym zadaniem aktorskim. Z jednej strony mamy charakterne postacie, które umożliwiają szarżę aktorską w kwiecistych monologach i kreacji postaci. Z drugiej - wnikliwie studium natury człowieka, granie na najcieńszych strunach. Znalezienie równowagi między tymi dwoma wymaga olbrzymiego warsztatu i świadomości aktorskiej. Czasami w teatrze amatorskim znajdzie się nieoszlifowany diament, dla którego będzie to coś naturalnego. Najczęściej jednak jest to albo fart, albo bardzo dobra praca reżysera. Piątka aktorów Teatru Yeta to mieszanka wszystkich trzech typów. Dla mnie pierwsze skrzypce grali Aleksander Kowalski oraz Aleksandra Peterwas. Wydawali się być stworzeni do tego tekstu i udało im się wygrywać oszczędnie większość niuansów. Krzesimir Lechowski wywołał u mnie mieszane odczucia. Początek miał świetny - skupiony i konkretny, z buzującym pod skórą gniewem. W kolejnych scenach miałem jednak wrażenie, że zerwał się ze smyczy i czasami ocierał się o karykaturalność. Co do Natalii Dobrowolskiej i Leny Matygi - brawo, wywiązałyście się ze swoich zadań, ale gdzieś w Was wyskakiwała nerwowa współczesność. Owa nerwowość byłaby za to bardzo mile widziana w formie spektaklu. W pewnym momencie nabrał on jednostajnego rytmu. Powtarzalność niektórych zabiegów, zwłaszcza tych związanych z postacią Tamara Absołomowicza, stała się męcząca. Zabrakło narastającego napięcia, owej nerwowości. Przez to zabrakło też ciągłości spektaklu - miałem wrażenie, że każda scena zaczyna go od nowa.

Jednak największy żal mam do Adama za światło. Adam Wrzesiński tworzy piękne światło sceniczne. Nie będę ukrywał, że jest moim idolem w tym temacie. Każdy jego spektakl jest dla mnie kolejną lekcją oświetlenia i dokładnie tego oczekiwałem tym razem. Pierwsza scena ze świecą rozświetlającą "rzeźby" bohaterów narobiła mi smaku na kolejne subtelne, precyzyjne i cholernie znaczące światła. Niestety, musiałem się tym smakiem obejść. A szkoda. Bo przez to zabrakło mi tych obrazów scenicznych płynących w pięknych słowach.

OCENA: 3/5

Piotr Maszorek

BLEJKATT "Przebudzenie"

Ruch sceniczny to niełatwa sprawa. Panowanie nad ciałem w taki sposób, by było spójne z emocjami, które ukryte są w tekście, a wybrzmieć powinny również w głosie to wielka umiejętność. Aktor pozbawiony głosu, mający za narzędzie przekazu wyłącznie gest wcale nie ma prostszego zadania. Musi dołożyć wielu starań, mieć ogromną świadomość swojego ciała, by precyzyjnie i czysto wykonywać gesty, które będą nie tylko czytelne, ale też wypełnione emocją. I tej precyzji jakże mi brakowało w *"Przebudzeniu"*.

Wszystkie Panie aktorki, występujące w spektaklu były charakterystyczne, co jest ogromnym plusem, albowiem gdy jest wiele osób na scenie, widz może się pogubić, jeśli każda z nich nie będzie na tyle charakterystyczna, by zapaść w pamięć. A ja wszystkie bohaterki pamiętam.

Jednak historia, choć czytelna, poruszająca ważny temat, nie poruszyła mną w ogóle. Przede wszystkim dlatego, że wiele trudu musiałam włożyć w odczytywanie gestów, układanie sobie w głowie co i jak.

Pantomima to trudna sztuka. Wymagająca dbałości o detale, dopieszczenie najmniejszych gestów. Nie mamy słów, więc każdy ruch, każdy przedmiot coś znaczy - NA PEWNO POWINIEN.

I tego znaczenia mi zabrakło. Spektakl oceniam jako dobry punkt wyjścia do zbudowania ładnego wizualnie widowiska, które poruszy i wzruszy. To taka etiuda na strat, pomysł na szkielet opowieści, który należy wypełnić przemyślanymi, dopracowanymi, znaczącymi elementami.

OCENA 2-/5

Pola Lepakhina

CIEŻKIE ŚWIATŁO

Pierwsze minuty spektaklu wzbudziły moją ciekawość, złapały uwagę... i nagle puściły. I ta karuzela - "macie mnie", "nie macie", trwała aż do końca.

Spektakl od strony wizualnej podobał mi się, podobałby się bardziej, gdyby miał mniej flegmatyczne tempo, bo każdy zachwyt, który przeżyłam, zamieniał się w znudzenie, a to w zmęczenie.

Poczucie zmęczenia potęgował też tekst, który przez swoją kwiecistą formę, traktując o rzeczach, które jak mniemam was poruszają, dotyczą, męczą, stał się cholernie nieszczerzy, a do tego przytłaczający. Jednak nie w taki dobry sposób, że siadł w głowie i zmusił do myślenia o tym, co mi mówicie, tylko znużył. Tym bardziej, że nie były żywymi słowami, które padały z waszych ust, tylko suchym nagraniem.

Czułam się jakbym słuchała audiobooka z włączoną wizualizacją w media player.

O ile ciekawiej byłoby mi oglądać spektakl, o tym co boli bohaterów, gdyby to oni mieli głos.

Pomysł na pewno ciekawy, wizualnie przyjemny, jednak mało przystępny. Widać pracę włożoną w przygotowanie spektaklu, a z drugiej strony, niezrozumienie czemu nagrania, a nie aktorów mam słuchać, czy to nie jest rozwiązanie na skróty?

OCENA: 2,5/5

Pola Lepakhina

Febe? Febe? FEBE!

Opis spektaklu zawarty na ulotkach promocyjnych zdradza 3/4 fabuły. Jednak to nie jest istotne, to co najważniejsze w scenariuszu, jest w tej pozostałej 1/4.

Warto pogratulować doboru tekstu, ten jest naprawdę mocny i ciekawy. Jest też niezwykle wymagający aktorsko. Spektakl był spektaklem poza konkursowym, dlatego też nie jest to recenzja, a raczej zbiór moich luźnych myśli i ogólny zarys akcji.

Kilka lat temu przyjąłem taką formułę dla spektakli poza konkursem i tego chcę się trzymać.

O czym to ja...A tak! Dobry tekst, lecz trudny. Historia wręcz banalna, ale wszystko co ważne dzieje się pomiędzy. Pomiedzy wierszami, pomiędzy scenami, pomiędzy słowami, pomiędzy monologami. To nie jest kolejna małżeńska komedia pomyłek. To historia o małżeństwie pozornie zgodnym i nowoczesnym. Rozwijają kariery, mają dom, wspólnie medytują. Mają wspólny cel i zgodnie z grafikiem rozmawiają ze sobą codziennie po pracy. Tylko czy na pewno? Rozmowy jakby jałowe, a z biegiem czasu przeradzają się w monologi. Każde chce powiedzieć swoje i nie słucha partnera. Są skupieni na sobie i swoich obawach, potrzebach, problemach. Zaginięcie psa było katalizatorem wszelkich zdarzeń i obnażyło pustkę w ich relacji. Czy już wspominałem, że Michael Gowe jest bardzo dobrym dramaturgiem?

Na scenie nie ma zbędnej scenografii czy rekwizytów. To co się pojawia jest jak najbardziej potrzebne i wykorzystywane. Scenografię dopełniają wizualizacje wyświetlane z projektora. Jedyne co zdradzę i ujawnię, to Grażyna Wieteska potrafi ładnie śpiewać. :)

Oceny klasycznie brak, spektakl jest nadal grany w ŁDKu, więc można się przekonać samemu czy Febe się znajdzie czy nie. A może zgubi się coś innego?

Remigiusz Pilarczyk